

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

4233/6

Dublet

W P R Ó W K I
F O T O G R A F A

Sopis
Q

J A N B U Ł H A K

ZESZYT VI

CZŁOWIEK TWÓRCĄ KRAJOBRAZU

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA wychodzą periodycznie zeszytami objętości około dwóch arkuszy tekstu i ilustracyj i tworzą album opisowe i obrazowe Ziemi Wileńskiej.

Każdy zeszyt WĘDRÓWEK FOTOGRAFA stanowi oddzielną całość pod osobnym tytułem, ale jednocześnie jest częścią składową większego cyklu, odtwarzającego piękno pejzażu w słowie i w obrazach fotograficznych autora. Zeszyty ukazują się we wzorowej szacie graficznej z licznymi ilustracjami na wytwornym papierze kredowym. Ich treść literacka i plastyczna — dzieło jednego autora — dopełnia się wzajemnie i tworzy jedną całość artystyczną.

Dotychczas wyszły z druku:

A. Serja pierwsza, zawierająca

Zeszyt I—Krajobraz Wileński.

Zeszyt II—Przez Ponary do Trok.

Zeszyt III—Krajobraz widziany przez soczewkę.

B. Serja druga

Zeszyt IV i V Jezioro Narocz.

C. Serja trzecia

Zeszyt VI—Człowiek twórcą krajobrazu.

Zeszyt VII—Ruszczyckowskie dożynki. (Bohdanów w Oszmiańszczyźnie).

Zeszyt VIII—IX (podwójny). Pejzaż Wilna.

W przygotowaniu:

Zeszyt X—Kalwarja Wileńska.

Zeszyt XI i XII. Nowogródzkie („Kraj lat dziecińczych“).

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA
W SŁOWIE I W OBRAZIE

CZŁOWIEK TWÓRCĄ
K R A J O B R A Z U

JAN BUŁHAK

EXCURSIONS
D'UN PHOTOGRAPHE

EN PAROLE ET EN IMAGE

VI

L'HOMME CRÉATEUR
DU PAYSAGE

WILNO (POLOGNE) 1936

LIBRAIRIE ŚW. WOJCIECH

Łopis do 4233

B.

JAN BUŁHAK

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

VI

CZŁOWIEK TWÓRCĄ
KRAJOBRAZU

Z 16 ILUSTRACJAMI AUTORA

W I L N O 1 9 3 6

NAKŁADEM „PRZEGLĄDU FOTOGRAFICZNEGO”
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
WILNO — POZNAŃ — WARSZAWA — LUBLIN

4233

TEGOŻ AUTORA

1. **Moja Ziemia**, wydanie L. Chomińskiego. Wilno 1919 (wyczerpane).
2. **Wędrówki Fotografą**. Zeszyt I. **Krajobraz wileński**. Wydanie L. Chomińskiego. Wilno 1931.
3. **Fotografika**. Zarys fotografii artystycznej. Wydanie Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Warszawa 1931.
4. **Technika bromowa**. Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha. Wilno—Poznań—Warszawa—Lublin (na wyczerpaniu).
5. **Wędrówki Fotografą**. Zeszyt II. **Krajobraz, widziany przez soczewkę**. Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
6. **Wędrówki Fotografą**. Zeszyt III. **Przez Ponary do Trok**. Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
7. **Bromografika** czyli metoda wtórnika. Wilno 1934. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
8. **Estetyka Światła**. (Zasady Fotografiki) Wilno 1936. Skład główny w Księgarni Św. Wojciecha.
9. **Wędrówki Fotografą**. Zeszyt IV—V. **Jeziro Narocz**. Wilno 1935. Wydanie St. Turskiego. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
10. **Wędrówki Fotografą**. Zeszyt VI. **Człowiek twórcą krajobrazu**. Wilno 1936. Skład główny w księgarni św. Wojciecha.
11. **Wędrówki Fotografą**. Zeszyt VII. **Ruszczycowskie Dożynki**. Wilno 1935. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
12. **Wędrówki Fotografą**. Zeszyt VIII—IX. **Pejzaż Wilna**. Wilno 1936. Skład główny w księgarni św. Wojciecha.

Pod redakcją i przy współpracy autora:

13. Almanach Fotografiki Wileńskiej. Wydanie Fotoklubu Wileńskiego. Wilno 1931 (na wyczerpaniu).
14. Almanach Fotografiki Polskiej 1934, Wilno 1934. Wydawca i skład główny Stanisław Turski. Wilno, ul. Bonifraterska 2 m. 4.

W przygotowaniu:

15. **Wędrówki Fotografą**. Kalwarja Wileńska.
16. **Wędrówki Fotografą**. Nowogródzkie („Kraj lat dziecinnych“).

Drukarnia Artystyczna „GRAFIKA“ Wilno, Tatarska 22 tel. 13-69

K 1194/48





„WĘDRÓWKI FOTOGRAFA“

Fot. Janusz Bułhak (syn)



H O R O D Ź K I

Fot. Jan Bulhak

I

ZARZĄDZENIE państwowe z wiosny 1934 roku przyniosło niezmiernie doniosłą ustawę o ochronie przyrody. Ustawa taka, wydana o kilkanaście lat wcześniej, ocaliłaby od zagłady wiele cennych wartości naszego kraju, ale i dziś jeszcze przysłuży się niemało w tym względzie. Nie wolno już będzie niszczyć bezmyślnie lub zbrodniczo przyrody w jej skarbach pamiątkowych, malowniczych i kulturalnych.

Ale z przyrodą i jej formami bytu jest ściśle związany — człowiek. Jak na pewnych gatunkach drzew lub roślin przebywają określone odmiany owadów, jak pewne obszary leśne lub gruntowe są terenem bytowania tych, a nie innych typów zwierzęcych, podobnie utworzyły się ściśle zespolone z sobą kompleksy życia roślinnego i ludzkiego. Jednym z takich przyrodzonych kompleksów jest osobliwy, polski organizm psycho-biologiczny, nie mający podobnych sobie w całej Europie — dwór wiejski i osoba zamieszkującego ten dwór szlachcica polskiego na kresach, dawniej Litwą zwanych. Ten żywy organizm nietylko nie został objęty państwową ustawą o ochronie przyrody, lecz wskutek warunków obecnych, nieraz celowo stwarzanych, zanika i ginie w oczach.

Kiedyż, po ustawie o ochronie przyrody, przyjdzie prawo o ochronie — człowieka i jego gniazda? Prawo o poszanowaniu i ochronie tych skarbów piękna fizycznego i duchowego, jakie przymnożyło i zgromadziło jego zrośnięcie z ziemią? Prawo o ochronie dworu naszego, tego szacownego tworu kilku stuleci ojczyznej historii i kultury?

A ponieważ wołanie to — w warunkach dzisiejszych — jest oczywistym głosem wołającego na puszczy, więc tem sposobniejsza jest może chwila, by utrwalić w pamięci zarysy tego blaknącego obrazu, by zastanowić się, czem jest ten nasz rodzimy, starodawny, polsko-litewski dwór?

Sama etymologia wskazuje na odrębność pojęcia „dworu” od cudzoziemskiej posiadłości ziemskiej. Tamte wywodzą swe nazwy od zasady własności lub położenia wiejskiego (*Bien — Maison de campagne — Gut — Landhaus — Country house*). Nawet rdzenna Polska ograniczyła i zubożyła pojęcie „dworu”, rozległe i dekoratywne, nazywając tak sam tylko budynek mieszkalny, a miano szlacheckiej siedziby pomieszała z nazbyt ogólnem i rozwodnionem określeniem „wsi”. Tylko u nas, na bezbrzeżnej historycznej Litwie, całe osiedle szlachecka, jego dom, zabudowania gospodarskie, ogrody, sady i zadrzewienia — wszystko to razem nazywało i nazywa się — dworem.

Dwór — to cały świat ziemianina. To jego dom i władanie, jego praca i wypoczynek, jego radość i chluba. Dwór, wielki czy mały, na stu włóckach, czy na stu morgach — to jego udzielne królestwo. Król polski miał swój dwór w stolicy

kraju, a szlachcic litewski miał dwór w swojej własnej stolicy, na swym dziedzicznym kawałku ziemi, przekazanym mu przez przodków. Żył w nim od kolebki do grobu, wrastał w niego, jak te lipy, co ocieniały jego domostwo i jak one, odwiecznością mocny i w ziemię sercem wkorzeniony, nadawał swoisty kształt i wygląd wszystkiemu, co go otaczało.

Dlatego to krajobrazu naszego, jak zresztą całego krajobrazu litewskiego w dawnym rozumieniu tego słowa, od Dźwiny i Berezyny po Wilję i Niemen, po Kowieńszczyznę, Grodzieńszczyznę i Suwalszczyznę niepodobna oddzielić od tych niezliczonych dworów, rozsianych zielonemi skupieniami po całej powierzchni kraju. Rzekłbym więc: krajobraz nasz — to jest głównie i przede wszystkim — dwór. Już zdaleka czuje się go, chociażby nie było nic widać, oprócz drzew. Już zdaleka sylweta dworu posiada własne znamiona w bryle i liniach, niepodobne do skupienia leśnego. Drzewa mogą być w obydwu te same, a jednak rozłożenie masy roślinnej będzie odmienne i oko wieśniaka zauważy tę różnicę już z odległości paru kilometrów. A właściwie nietyle zauważy, — ile wyczuje podświadomie, bo oczy wiejskie myślą same — bez udziału mózgu, z długiego nawyku idą automatycznie w dal, przenikają, odgadują krajobraz dookolny, ogarniają jego kontury pieszcotliwym przelotem lub spocznięciem, obcują ustawicznie z jego rozłożystością. Jak rybak wędka, wyławiają z przestrzeni dostrzeżenia drobne i powszednie, ale każde z nich ma swoje wewnętrzne znaczenie i wagę, każde oddźwiękiem

przychylnym współbrzmi z jakąś struną duszy patrzącego. Więc oczy odgadną dwór po dalekim zarysie kilku drzew odrazu i nieomylnie. Odgadną nawet wtedy, gdy właściwego dworu już niema, gdy chwasty zarastają rumowiska budynków, gdy większość drzew padła pod siekierą, a reszta dożywa niepotrzebnego istnienia, — nad rozkolezowanym obszarem dworskim o plugawie zniekształconem obliczu. Przyczyna tego, napozór fizyczna, leży w duchowych warunkach genezy dworu, w jego żywej, zielonej architektonice, stworzonej przez mądrą myśl, miłujące serce i umiejętną rękę. Zadrzewienie dworu nie wyrastało przypadkowo: tworzyły je trzy szacowne czynniki, działające w szeregu pokoleń i żywotów, w oparciu o mocną, pieczołowicie chowaną tradycję, spotęgowane trafnym wyzyskaniem naturalnego działania czasu i sił przyrody. Domowa tradycja estetyczna uczyła rzeźbić w gałęzistym i liściastym ciele roślinnym formy celowe i piękne: aleje i szpalery, ściany i zwieńczenia dachowe, kopuły i wieżyce, bryły i masy plastyczne; a wszystko związane harmonijnie z zabudowaniem mieszkalnym i gospodarskim, stanowiące jego integralną część składową. Tło, otoczenie, rozplanowanie i połączenie szczegółów, zamknięcie całości ogólną sylwetą przestrzenną, boczną i górną — cała ta przedziwna kompozycja była ciosana i cyzelowana w zielonym tworzywie szlachecko-dworskiej architektury, tworzywie potężniejszym i odporniejszym, niż dzieła pojedynczych generacji. Nie dziw, że nabrała ona kształtów uświęconych, niemal niezniszczalnych, które przetrwały założycieli i ich

czasy i nawet swemi biednemi resztkami przemawiają z niezawodną elokwencją. Dwór nie może nigdy zatracić swego oblicza, jak długo coś z niego istnieje, jak długo nie zostało wycięte ostatnie jego drzewo.

Dwór w krajobrazie jest sprawą najważniejszą, jakgdyby punktacją wytyczną na ślepej mapie kraju, jakgdyby rdzeniem rysunkowym jego powierzchni. Dwór — to ośrodek, w którym skupiają się i do którego biegną ze wszech stron gościńce, drogi, ścieżki i „ścianki”, jak siatka żył i nerwów, zbiegających się w sercu i w mózgu człowieka. A pomiędzy drogami leżą kolorowe szachownice pól, wzorzyste dywany łąk i pastwisk, kępy gajów, leśne połacie i smugi. Od dworu do dworu droga prowadzi przez łąny i sianożęcie, przez zagajniki, sośniaki i dąbrowy, a wszystkie one należą do jakiegoś dworu, który od stuleci wycisnął na nich swe piętno. Chłopskie wioski między niemi, mniej zaakcentowane w rysunku plastycznym, zaznaczają się w formach drugorzędnych, stanowiących jakby podmalowanie szczegółów tego wielkiego obrazu, którego motywem naczelnym jest siedziba szlachecka — polski dwór na tak zwanych obecnie „kresach”¹⁾.

¹⁾ Nazwa ta jest irytująco nielogiczna i mogła urodzić się tylko w ciasnym mieszczańskim intelekcie, ograniczonym do widnokregu warszawskich rogatek. Czy można nazywać kresami kraje, znacznie większe od ośrodka, który one otaczają? Czy możnaby nazwać Warszawę kresami Pragi, a Kraków — kresami Podgórze? Przecież Polska rdzenna bez tych lekceważonych „Kresów” byłaby kraikiem o rozmiarach geograficznych Belgji, a obszarze duchowym z pewnością nie dorównującym posiadanemu.

Jeśli przyroda oddziaływa na człowieka w sposób decydujący, to równie niewątpliwie jest oddziaływanie człowieka na przyrodę nawzajem. W długim, wiekowym ich współżyciu krajobraz nasz był kształtowany przez jego pana i władcę, przez szlachcica z białego dworu o kolumnowym ganku. Dzięki odrębnym tej szlachty cechom, gdzieindziej rzadko spotykanym, krajobraz zachował swe pierwotne i dostojne piękno w formie czystej, nieskażonej przez cywilizację materialistyczną i techniczną.

Dzisiaj, gdy szlachetczyzna wiejska i dworska, jej tradycje i formy i całe życie odchodzą w przeszłość niepowrotną, stają się już tylko wspomnieniem historyczno - obyczajowym, dziś chwila to może najodpowiedniejsza, by jej zajrzeć w oczy.

Przypatrzmy się temu, który miał niegdyś prawo powiedzieć: „Polska — to ja”.

Pomińmy uprzedzenia klasowe, które zaciemniają istotę rzeczy i utrudniają poznanie prawdy, a również nie chciejmy idealizować szlachcica-ziemianina i przyznawać mu same zalety. Ludzie są zawsze tylko ludźmi, a cechy charakterystyczne epoki, zarówno ujemne, jak dodatnie, odbijają się w każdej warstwie społecznej. Nie idzie tu zresztą o wizerunek pełny i dokumentarny stanu szlacheckiego, tylko o te jego rysy, które się złożyły na kształtującą symbiozę człowieka i przyrody. Poprzestańmy na wskazaniu właściwości odrębnych, a rzadkich, które się same narzucają uważniejszemu wzrokowi, na podkreśleniu tej osobliwej cechy ziemianina naszego, że był on człowiekiem najbar-



DRZWI OGRODOWE W NOWODWÓRCIE



JURKISZKI

dziej niezależnym na całym świecie cywilizowanym i, jednocząc najwyższą swobodę z największą prostotą, potrafił może najlepiej rozwiązać zagadnienie szczęścia, jednocześnie i sielskiego i królewskiego. Niema na świecie takiego mocarza, któryby mógł nie pozazdrościć doli szlacheckiej. Była ona oparta na niezależności materialnej, wynikającej z posiadania własnej ziemi i na zdrowiu i pogodzie moralnej. A te zawdzięczał szlachcic pracy na ziemi i obcowaniu z przyrodą w prostocie i umiarkowaniu, jakiego uczy ona swoje dzieci, gdy żyją z nią w miłującym zjednoczeniu. Dwór każdy był odrębnym światem, wolnym i odosobnionym, jak królestwo — ale jego król był jednocześnie i pierwszym jego pracownikiem, odzianym w majestat dostatniej skromności. Nie było w nim nic z bogacza, który za złoto kupuje sobie nudną beczynność, ani też nic z nędzarza, co przeklina jarzmo codziennej pracy, ponieważ nie ma w niej nic do zyskania ani do stracenia. Było to całkowite, iście monarsze zwierzchnictwo, wyższe nawet, bo nie skrępowane przez ceremonjały i racje stanu: wolność w swoim domu, swoboda pracy i wytchnienia w zaciszu domowego obyczaju i w rozmachu szlacheckiej fantazji na sto lub tysiąc morgów wokoło.

Ziemianin był jedynym prawdziwym „panem” na świecie, w myśl słów Kochanowskiego: „ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swoim”. Był panem w całej prawdzie i poezji tego słowa, panem u siebie i dla samego siebie, panem swego domu i ziemi, swego chleba i mleka, swych wód i drzew, swego powietrza i słońca, panem kawałka cudownego Bożego świata, w którym wszystko,

co żyło i rosło, jednoczyło się z człowiekiem w radosnej pieśni, śpiewanej na chwałę życia.

I nie było w tem „państwie” szlachcica przewagi uczuć niskich i gminnych, nie było bezserdecznego hołdowania korzyściom materialnym. Nie jak pasorzytny przybłęda, wybierający źródło największego zarobku, osiadł on na ziemi i rządził jej dostatkami. Chlebniem ziarnem posiały go na niej dzieje przedwieczne, leśnem nasieniem wraziły go w glebę wichry historii. A on rósł setkami pokoleń wzwyż i wgłąb — zakorzenił się w ziemi, którą swoją uczynił, krwią obrony i potem pracy. Stał się panem w najlepszym znaczeniu tego pojęcia, panem ziemi rodzącej, obfitej i pięknej. A takie państwo obudza uczucia prawe i dobre, od dumnej, ale szlachetnej niezależności do ludzkiej, serdecznej prostoty, do poczciwości, otwartej i gościnnej. Są to uczucia, które dać może jedynie tradycja i rasa, to wielkie słowo, zbyt często obecnie lekceważone w stosunku do ludzi, aczkolwiek bardzo poważnie traktowane w odniesieniu do zwierząt.

Uczucia te nie zdołałyby wyrosnąć w duszy kupca, handlarza, fachowego producenta rolnego, wymagały bowiem ścisłego związania z ziemią, życia poprostu jej sokami, miłowania ziemi nie dla jej płodów i korzyści, ale dla niej samej. Warunki bytu rozwinęły w szlachcicu, obok męskich cnót rycerskich, hojną i bezinteresowną gościnność, ponieważ dziedzicznie nie miał sposobności do nabycia uczuć przeciwnych, stanowiących istotę kupieckiego mieszczaństwa, a zaprzeczenie rycerskości. Rycerskość idzie w parze z podniosłością

uczuć i szerokością gestu. Przez kilkaset lat szlachcic sam jeden bronił ojczyzny i odpierał jej wrogów. Nie brali w tem udziału ani chłop, ani mieszczanin, tem mniej niemiecki rzemieślnik-kupiec lub żydowski handlarz-pośrednik. Piersi i miecze szlacheckie były jedynym murem obronnym dawnej Polski przez całe stulecia. A wojny były częste, długie i okrutne. Nie dziw, że w chwilach błogosławionego pokoju wojownik i rycerz czuł się uprawnionym do przywileju nieskrępowanej wolności i do beztroskiego wczasu na ziemi i w domu, które zasłonił własnem ciałem, które obronił własną krwią. Nie miał już wtedy głowy i czasu na zapobiegliwe kupczenie mieszczańskie. Żył bujnie, szeroko, chociaż niewątpliwie jednostronnie. Mówi się zbyt pochopnie, że szlachta w XVIII w. zgubiła Polskę. Ale czemuż przemilcza się, że ta sama szlachta stwarzała Polskę w wiekach poprzednich, była jej głową, sercem, ręką i tarczą obronną, że przez stulecia była całą Polską, jej treścią, bytem i rozkwitaniem, że bez szlachty nie byłoby wcale Polski, tylko bezbronne, plemienne stado, skazane na wytępienie lub niewolę przez pierwszego z brzegu zaborcę.

Tutaj spoczywa klucz całej zagadki, przyczyna całej odrębności naszego ziemianina. Jest nią — przywiązanie do ziemi. Uczucie to dosłownie „przywiązało” go w sposób bezprzykładnie oddany i nierozzerwalny do ziemi polskiej i własnej, stało się to tradycyjnem tłem jego losów, treścią jego życia, uprawnieniem jego władztwa. Kiedy gdzieindziej uważano ziemię za przedmiot handlu, za obiekt zamiany na pieniądź dla zyskowniejszej je-

go lokaty, ziemianin litewski nie rozumiał poprostu życia poza gniazdem rodzinnym, pamiętającym dziesiątki pokoleń, a konieczność jego porzucenia, choćby dla równoważnika wartościowszego, przeżywał jako osobiste nieszczęście. Kto tak, jak on, potrafił przez cały wiek XIX przetrzymać ogniową próbę eksterminacyjnej polityki rosyjskiej, te wszystkie prześladowania, kontrybucje, zakazy, trwając niezłomnie na swej placówce, trzymając się jej całym wysiłkiem woli i ukochania, jak ten dąb nadświteski, palczastym uchwytem korzeni na życie i śmierć w rodzimą glebę wrośnięty?

A ponieważ światem, mimo wszelkie zaprzeczenia materializmu, kieruje i rządzi duch, którego najpełniejszą emanacją twórczą jest miłość, więc miłość ta nie tylko kształtowała charakter i żywot ziemianina, lecz położyła swe niezgładzone piętno na krajobrazie obszarów, przez niego zamieszkanym. Piękno naszego krajobrazu — to uśmiech cichego, tkliwego oddania, z jakim matka patrzy na swoje dziecko, to promienne spojrzenie bezgranicznej ufności, jakim dziecko odpowiada matce.

Darząc ziemię tem spojrzeniem i uśmiechem, bezwiednie i mimowolnie, bez zamiaru i planu, jak wszystko, co przyrodzone, stał się ziemianin twórcą naszego krajobrazu. Dlatego to należało, chcąc mówić o ziemi, zacząć od człowieka.

Ziemianin siedział na swym gruncie nie dlatego, że to było wygodne i zyskowne, lecz dlatego, że tak czyniły szeregi jego antenatów, dlatego, że nie umiał i nie chciał żyć inaczej. Tamci ongi wyrąbывali mieczem granice Rzeczypospolitej, jemu już tylko pług pozostał z żelaznej spuścizny



N A C Z



CZOMBRÓW

przodków. Więc tego dziedzictwa trzymał się oburącz w pracy i poświęceniu. A jak dla mężczyzny o sercu czystym jest tylko jedna ukochana kobieta na świecie i wszystkie inne dlań nie istnieją, podobnie nie istniała dla szlachcica żadna inna ziemia oprócz jego własnej. Ta była mu najmilsza i jedyna. Więc od tego obcowania każda grudka gleby, każdy szmat trawy, cały pejzaż okoliczny nabierał sentymentu i ciepła, stawał się symbolicznym odbiciem głębokiego uczucia. Nie jest to poetyczną metaforą. Na plastycznej powierzchni ziemi wyciskały się swoistą rzeźbą wszystkie cechy charakteru człowieka: szlachetna hojność, bezinteresownie życzliwa gościnność, podniosłość myślenia, szerokość gestu, hart wytrwania i prostota uczuć.

Szlachcie nie mógliby zepsuć krajobrazu kominem fabrycznym ani kolejką, najeżoną słupami, gdyż tych ulepszeń nie potrzebował i nie znał, albo znając, z nich niemi gardził. Musiał natomiast zbudować dom prosty, ale wygodny, obszerny i skromnie dostoyny, z wieńcami topoli, strzelających w niebo, jak świątynne wieżyce, ponieważ takie gniazdo było naturalną potrzebą jego bytowania, jak skorupa dla ślimaka, albo knieja dla zwierza. Obok domu wznosił w tym samym stylu, powściągliwie celowym, a wyrazistym, zabudowania gospodarskie, a wszystko otaczał gęstwiną roślinną. W ten sposób tworzył się typ dworu polskiego, dziwnie jednolity i skończony w swoim wyrazie. Do tego typu nigdy nie potrafiły zbliżyć się dwory, założone u nas przez Rosjan lub Niemców, które wyglądają obco i pretensjonalnie i kłó-

cą się z pejzażem, zamiast się do niego przystosowywać. W tem budowaniu dworskiem odbiła się najwymowniej duchowość szlachcica, tworząca nawet bezwiedne, nieumyślne piękno. Świadczy o tem charakter pomieszczeń użytkowych, tych „świerców” i „imbarów”, „odryn” i „gumien”, stajen i obór, wszystkiego, co miało zamkniętą bryłę przestrzenną. Niemiecki zachód oddawna nauczył się sprowadzać praktycznie budynki gospodarskie do oszczędnych, bezkształtnych sześcianów, płasko krytych, lekkich, tanich i celowych. Folwark zagraniczny niewiele różni się od miejskich składów towarowych lub korpusów fabrycznych. Ale szlachcic litewski nie potrafiłby tak oszpecić swego dworu: nie pozwoliło mu na to jego poczucie wrodzone, niepraktyczne, ale pańskie i rycerskie. On dba więcej o wygląd swej siedziby, niż o użyteczność jej części składowych. Dlatego wznosi każdy budynek na wzór swego domu: z wysokim dachem, kształtnie ściętym po bokach, z ozdobnie rzeźbionemi szczytami, z murowanemi filarami i narożnikami, z rzędem słupów, wspierających podcienia, z wzorzystym gzymsem, biegnącym dokoła okapu. Nadaje zabudowaniom podobieństwo do swego gniazda domowego, nadaje im formy, uświęcone przez bezwiedną, tradycyjną estetykę, kosztowne może i zbędne dla użyteczności, ale jakże potrzebne i konieczne dla oka i duszy! Buduje nie po kupiecku, lecz po szlachecku, po pańsku, bo nie umie i nie chce inaczej. Buduje tak aż do ostatnich czasów wielkiej wojny i w każdej pięknej bryle, murowanej lub drewnianej, zawiera i odzwierciadla cechy swej odrębnej duchowości. A dzię-

ki temu, gdy oko z obrzydzeniem odwraca się od architektury folwarku pomorskiego, to u nas może ze spokojną rozkoszą spocząć na bryle, dachu, szczycie każdego budynku, który jest ozdobą pejzażu dworskiego, a nie jego zeszpeceniem. A przytem formy te mają najzdrowszy i jedyny słuszny punkt wyjścia, bo naszą staroświecką, chłopską chatę.

I oto na bezbrzeżnym widnokręgu wiejskim, polnym i leśnym, powstawały sklepione oazy, białością dworów zdala świecące; otulone w zarośla ogrodów i gajów, wiązały się wstęgami dróg, strzeżonych przez krzyże i kapliczki, wystrzelały gdzieś ku niebu kościelnymi wieżycami i tem wszystkiem nadawały powierzchni ziemi pewien charakterystyczny wygląd. A typ budowania dworskiego ustalił się w formach tak zdecydowanych, że wznoszono jego wzorem nie tylko siedziby wiejskie, lecz i całe miasteczka, nie wyłączając karczem, sklepów, hal targowych i bóżnic żydowskich.

Przykłady takiego budowania możnaby wskazywać na każdym kroku, ale szczególnie wymownym jego wzorem są Worniany na Wileńszczyźnie. Worniany są warte opisu. Dwór, kościół, plebanja, miasteczko z dwóch skrzyżowanych uliczek złożone, wreszcie przyległe drogi ze starymi przysadami — wszystko zostało pomyślane w jednolitym planie architektonicznym i sytuacyjnym, a planem tym rządzi arbitralnie, ale mądrze — dwór. Plan ma symetryczny kształt długiego krzyża. Od podstawy do ramion idą kolejno: staw, otoczony parkiem i dom na osi głównej z dwiema skrzydłowymi oficynami przy alei wjazdowej. Aleja osiowo



przechodzi w ulicę malutkiego miasteczka, zabudowaną z obydwu stron murowanymi domkami o miłym wyglądzie oficyn dworskich. Na przecięciu ramion krzyża mieszczą się dwa rozłożyste, narożne trójkąty karczem-zajazdów. Bryły mają one krzepko przysadziste, nienagannie foremne, zgodne z typem budynków dworskich. Za nimi w prawo i w lewo rozchodzi się ulica poprzeczna, zakończona pięknymi rzędami klonów i zieloną „rotundą” drzewną w kształcie wielkiego kręgu z czterema krzyżami na cztery strony świata w gęstem roślinnym umajeniu. Nakoniec czoło krzyża i jego szczyt stanowi biały kościół barokowy z dwoma po bokach budynkami plebańskimi, tworzącymi półkoliste skrzydła. Dom boży i dom ziemianina leżą na tej samej osi centralnej całego kompleksu i ponad domami miasteczka ustalają kontakty optyczne i uczuciowe ścisłego współżycia. Dwór i kościół nadają całości własny charakter, uszlachetniają typ zbiorowej siedziby ludzkiej, prowadzą do niej od zewnątrz przepiękną aleją wjazdową z rotundą klonów i krzyżów.

Tak zespalają się w tym szerokim, wspaniałym geście architektonicznym, wyrażonym ze skromną, niemal surową powagą, wszystkie przejawy życia wiejskiego od szczytnych do powszednich i wszystkie hołdują zasadzie celowości, a zarazem piękna prostego i dostojnego. Skądże promieniało to piękno, jak nie z duszy władcy tego „dworu”? Komu zawdzięczamy, że zachowało się ono do dziś dnia, jak nie temu, który z cegieł, bierwion, drzew i krzewów umiał powołać do życia całe gniazdo komórek społecznych, obraz całego życia wsi

w formie plastycznej, pełnej hierarchicznego ładu i niezmaconej harmonji? Kto potrafił tak doskonale połączyć wzniosłe piękno ze szczytną prostotą, głębokie umiłowanie przyrody i jej mądre wyzyskanie ze spartańską powściągliwością środków zdobniczych, jak to czynił na każdym kroku ziemianin litewski, twórca fizycznego i duchowego oblicza naszego krajobrazu?

II

MAŁY dworek w zaścianku lub folwarku wyrastał na sposób wioskowy w bezpośrednim otoczeniu stodoły, obory i innych budynków, stłoczonych dookoła. Ale tonął w gęstwie drzew i krzewów, posiadał przed gankiem trawniczek, kwiatowe grządki, a tuż opodal świronek albo lamus naśladował ganek szeregiem słupów, podpierających dach — i tak pierwotność użyteczności prowadziła stopniowo do klasycznej kolumnady wielkich empirowych dworów i pałaców. Na potoczystym krajobrazie równinnego, lekko sfalowanego kraju, dwór wznosił się tylko nieznacznie swemi okrągłemi kępami drzew. Bezwiedne poczucie estetyczne człowieka wieńczyło tę wyniosłość kilkoma wysmukłemi wieżyczkami topoli, które nadawały całości sylwetę piramidalną, odcinającą się wyraziściej i stanowiącą lepsze dla oka oparcie.

Tworzyła się w ten sposób wzorowa kompozycja architektoniczna, którą ziemianin wysnuwał intuicyjnie ze swej jaźni, tak jak instyktowo lepi pszczoła doskonale foremne komórki woszczyzny, by w niej zamknąć słodki miód swej pracy. Wyrastał całokształt dworu, na który miło było parzeć zdala, a gdzie było słodko i radośnie zagłę-



STAW W OTMYCIE



SALON W BOBRZE WIELKIEJ

bić się w szczegóły otoczenia. Dom miał twarz przyjazną i bratnią: okna jego patrzyły wzrokiem pradziadów ze starych portretów, wiszących w pokojach. A te wkoło domu rosące, niewymyślne, nawpół zdziczałe kwiatki, jakże miłym wyglądem witały one gościa — przechodnia! Te różnokolorowe malwy, piwonje, floksy i georginje, dorosła brać wśród niemowlęcych barwinków, stokrotek, bratków i niezapominajek... Te bluszczowe oploty powojów, pnące się ku niedużemu oknu różowemi i szkarłatnemi płomykami, ażeby gdzieś wkońcu stulić się uściskiem z girlandami chmielu czy dzikiego wina i wędrować razem po ścianach domostwa aż na dach wysoki, omszony rdzawo-burą pleśnią z zielonemi łatami! Te samorosnące we wdzięcznym nieładzie kępowiska jaśminów, głógów i kalin, szumiące pszczołami zarośla akacyj, bżów i leszczyny, siedziska ptasich szczebiotów i fruwań, czatownie zwinnych kocurów, milczkiem pilnujących upatrzonej skrzydlatej zdobyczy!...

A wewnątrz dworku bielone pokoje z belkowanemi sufitami, jesionowe krzesła i kanapy, komody z pracowitem włóczkowem przykryciem, w rogu ochrypły szafkowy zegar z mosiężnemi wagami, na ścianach dożynkowe wianki i kościuszkowskie portrety, nad drzwiami „Błogosławieństwo Duchowe domu”, poźółkłe ze starości i spoglądające z góry dobrotliwem wejrzeniem, nad łóżkiem spłowieły dywan z zielonemi jeleniami, nad skrzyżowanemi strzelbami krzyż i gromnica... I stare kalendarze, rejestry i modlitewniki na półce, obok barometru z bernardynem, osobiście wróżącym pogodę, i pęki ziół pachnących, zwieszzone z belko-

wanego pułapu, i rozłożysty piec z zielonych kafli, skrzypiący drzwiczkami żałośnie i jakiś niematerialny zapach tradycji, prostoty, pokoju i ciszy...

W tych białych wnętrzach rozumiało się naprawdę etymologję psychiczną pięknego, iście słowiańskiego pojęcia „pokoju”, mieszczącego w sobie nie reprezentację cudzoziemskiej „komnaty”, nie użytkowość kmiecej „izby”, nawet nie sybarycki kwiatyzm wygodnego rzymskiego „*tusculum*”, tylko — duchowy pokój po uczciwej pracy w domowym zaciszu. Dwór polski nie znał „salonu”, który przyszedł późno wraz z francuskim obyczajem epoki Stanisławowskiej, tak jak nie znał ceremonjalnych gości, odrabiających krótkie wizyty, bo dla miłego sąsiada cały dom był na usługi. Miał zato niejeden pokój gościnny, niejedną „bokówkę”, ciasną i niekomfortową, ale przeznaczoną na dłuższy pobyt gościa, z którego przyjściem „Bóg w dom wchodził”. Miał wielką, obszerną sień, później przedpokojem nazwaną, gdzie na rogach jelenich wisiały burki i inny zwierzchni przyodziewek, na ścianach ciemniały napoleońskie sztychy, a gdzie przy okrągłym stole środkowym, zarzuconym czapkami i przyborami myśliwskimi, odbywały się pierwsze powitalne gawędy, zanim się nie przeniosły do suto zastawionej jadalni. Ta ostatnia była przestronna, jak serce gospodarskie: przyjmowała gości nie krótką, odświętną wystawnością, tylko przyjaznem wessaniem w bieg codziennego życia, jego prostych praw, radości, zabiegów i wczasów — gromadziła pospołu i domowników i starszą czeladź i miłych sąsiadów, mieszając niekiedy razem obydwie nazwy pokoju jadalnego

i gościnnego. Bo gość nie był człowiekiem obcym — był to ktoś swój, bliski, złączony węzłami sąsiedztwa, pokrewieństwa i wspólnoty życia. Polska rozlewna serdeczność i dobroduszość potrafiła przecieżyć z nieprzyjemnego pojęcia „*hostis*” (wróg, obcy) utworzyć biegunowo przeciwne wyobrażenie radośnie witanego przyjaciela—gościa, gdy jednocześnie staroruskie „*gost'*” oznaczało tylko przybysza — kupca, przywożącego towar wymienny (*gostinnyj dwor*—hale targowe). Pomimo licznych smutnych doświadczeń z zaborczym sąsiadem poczciwość polska wołała widzieć w obcym nie łaćwińskiego „*hostis*”, tylko niepodejrzanego o złe zamiary „gościa”.

Dwór średniego typu różni się od dworku nietyle zawartością, ile raczej rozmiarami. Częściej już murowany, pysznił się czterema białymi kolumnami wysokiego ganku, którego dymnikowe okno, promienisto podzielone na trójkątne szybki, dziwnie przypominało oko Opatrzności z kościelnych frontonów. Dach miał łamany, czterospadkowy, o linii brzeżnej dolnego kantu wygiętej na podobieństwo namiotu, lekkiej i wdzięcznej. Nie wydłużał się ani wywyższał ponad swoje foremne proporcje czworoboku o przysadzistym wyglądzie, a o niewiarogodnej pojemności: miał doskonałą „bryłę” sześciennej, jeśli zaś z biegiem czasu wyrastał z niej dobudówkami i skrzydłami bocznymi, to czynił to tak umiejętnie, że nigdy nie zatracił dominowania masy głównej, a uzupełnienia zaznaczał wyrazistym podporządkowaniem linii ściennych i rytmiką dachów. Taki dom stał już nieco opodal od zabudowań gospodarskich, tworząc osobną ca-

łość z rozległym trawnikiem i dużym sadem owocowym i jagodowym. Kwiatami osadzone ścieżki prowadziły w sadzie do altan, alei i szpalerów lipowych, grabowych lub świerkowych, które stanowiły zarazem naturalne ograniczenie ogrodu, a kończyły się opodaj w przyległym gaju, albo też schodziły ku stawom lub rzeczulce, zarosniętej olszyną i spływającej w nizinne łąki poza dworem. W ogrodzie kultura użytkowa i zdobnicza mieszała się z pierwotnością bujnego rozrośnięcia, tworząc malowniczą całość, pełną samotnego uroku, w której królowały ogromne, rozłożyste, wspaniałe drzewa. Żeby opisać te podniebne, szeroko rozgałęzione topole, te rozwiewne, kędzierzawe brzozy o czarniawej, gruzłowatej korze, te smutnie szumiące sosny-samotnice, te kuliste kasztany i klony z listowiem gęstem i cienistym, te czarne baldachimy łapiastych świerków i przysadkowate kadłuby rozczochranych wierzb; żeby godnie pokazać cały ten lud olbrzymów, te gromady przyjaciół, powierników i towarzyszy wielu pokoleń—na to nie dosyć kochać je najtkliwszem, najwierniejszym kochaniem — na to trzeba być wyłącznym poetą drzew, jak Ejsmond, i dać o nich całą księgę.

Więc tu zapytać tylko należy: czy oprócz słońca, ziemi, wody i powietrza, nie wykarmiły i nie wypielegnowały tych pięknych drzew, tych miłych, niczem niezastąpionych przyjaciół—bratnie serce ludzkie, myśl zapobiegliwa i umiejętna, pracowita ludzka dłoń?

Kiedy szlachcicowi rodził się syn, na jego pamiątkę sadzono dąb albo lipę, zwaną jego imie-



OFICYNA W JANOWICZACH



NOWODWÓRKA



ZADWIEJA



PARK W PORZECZU

niem i nietykalną dla następnych pokoleń, jak relikwia rodzinna. Piecza o takie drzewa wchodziła w krąg domowego życia. I tak familja ziemiańska wzrastała w pobratymstwie z rówieśną rodziną drzew — symbolicznych towarzyszy krzepkiego, zdrowego żywota wśród tej samej natury. Współżyjąc z pięknymi drzewami, uczono się kochać je i cenić, jak stworzenie żywe, jak domowników, nierozłącznych z losami dworu i niejedna matka pozwoliłaby raczej sobie uciąć rękę, niżby dała zrąbać drzewo, zasadzone w dniu urodzenia jej pierworodnego syna.

Norwid nazywa Polskę krajem osobliwym, gdzie ludzie witają się słowami nie własnej, lecz bożej chwały i gdzie kruszynę chleba „podnoszą z ziemi przez uszanowanie”. Szacunek dla spraw ziemi, domu i rodu był obok miłości drugą cechą, znamienneą dla naszego ziemianina. Bez gromkich frazesów i bez współczesnego upodobania do „reprezentacji” umiano czcić własne gniazda domowe i dbać o ich niezmiennie zachowanie. Zwyczaj gruntownego przerabiania domu przyszedł dopiero z zagranicy i ustalił się późno, na schyłku epoki. Z wyjątkiem klęski pożaru szlachcic nie zamieniał starego domu na nowy — on go rozbudowywał wzdłuż i wszerz, tworząc nawarstwienia architektoniczne o swoistym wyrazie, które stanowiły niepisaną historję rodu i dworu. W całym stosunku ziemianina do swej siedziby przebija nietylko przywiązanie, ale i uszanowanie tego widomego relikwiarza tradycji rodzinnej, widnieje powaga i uwaga — nieodłączne cechy kultury ducha.

Przytoczmy parę przykładów tej uwagi, za-

chowanych jeszcze do niedawna. W Hołyncie (na wschód od Klecka), opisanej tak serdecznie w „Pamiętnikach Ewy Felińskiej“, znajduje się w parku duży, trójkątny kamień. W owalnym otoku czytamy na nim napis, odręcznie wyryty: „R. 1802 Przez Stanisława i Ewę Wendorffów Ten Ogród założony“. Opodal na innym kamieniu dają się jeszcze odcyfrować wiersze dłuższej allokucji:

„Lubý potomku, Ty krwi naszej plemię
Co po swych przodkach obejmiesz tę ziemię...”

i na końcu słowa: „Noś piętno na sobie wiecznego kamienia“. Było to zapewne wezwanie rodowe do wytrwania i przetrwania — zwykły, powszedni nakaz naszych przodków, wyjęty z codziennego życia, jak słowo codziennego pacierza. Dziś już ogrodu tego niema — są tylko zdziczałe zarośla i pojedyncze drzewa, ale poważna i godna myśl jego założycieli — idea trudu wśród domowego piękna — pozostała jako przykład, nauka i wspomnienie. W okolicach Tuchanowicz i Woronicy jest dwór Ostaszyn, który należał kiedyś do rodziny Ottenhauzenów, później do Grabowskich. Tam, nad drzwiami starego domostwa o gotyckich szkarpach do ostatnich czasów przed wojną wisiała tablica, a na niej widniały słowa:

„Twórcó! Niech my mieszkamy w tem gnieździe
[ojczystem
A Ty nas opatrz zdrowiem i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką przychylnością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością”.

Działania wojenne zniszczyły i dom i dwór ostaszyński i tę tablicę. Pozostała tylko pamiętać o ludziach szanownych, którzy umieli zakładać



CERKIEW W WALÓWCE !



GOŚCINIEC KOŁO BIENIAKOŃ

gniazdo ojczyste z prostotą i pielęgnować je z godnością. Nie zdołali go jednak uchronić od poci-sków niemieckich i od rosyjskich armat, od rabunku dzikich hord na samej linii frontu wojen-nego nad rzeką Serweczą.

Przykłady patryarchalnego stosunku do domu i ziemi możnaby mnożyć w nieskończoność. Ale i przytoczone wystarczą, by odpowiedzieć na py-tanie, czy te obrazy dworu polskiego, przeznaczo-nego do pracy i wypoczynku, do spokojnego co-dziennego trudu i do pogodnych uciech rodzin-nych — czy nie odbijają one w sobie, jak w zwier-ciadle, duchowego oblicza jego twórcy i pana?

Trzeci, najwyższy rodzaj pańskiej siedziby stanowiły pałace i zamki — dziedzina odrębna i tak bogata, że nie da się scharakteryzować w ramach pobieżnego szkicu. Więc przypomnijmy tylko, że te magnackie siedziby świeciły wzorami piękna architektonicznego, że były archiwami i muzeami, w których przechował się dorobek kulturalny, wykwił i smak, nauka i sztuka wielu pokoleń. Że nieraz każdy budynek w takich do-brach był dziełem sztuki budowniczej, złączonem w estetyczną całość z drzewami i roślinnością, że kwietniki tam były kobiercami, a parki — obra-zami, malowanemi w samej naturze przez trafny dobór barw i ugrupowanie plam i kształtów. Że taki dwór był oazą piękna i rozsądnikiem cywi-lizacji, oświaty, doświadczonej sąsiedzkiej porady, skutecznej pomocy lekarskiej, że promieniował szeroko w okolicę — słowem polskiem i słowem bożem, że jeśli dzisiaj z kilku milionów białorusi-nów jeden milion czuje się całkowicie Polakami

i stał się nimi dobrowolnie, bez najmniejszego nacisku i przymusu, to jest to wyłączną zasługą dworu polskiego i kościoła, przez ten dwór zbudowanego i utrzymywanego. Ziemię wschodnie, zwane dzisiaj lekceważąco kresami, zdobył, utrwalił i zachował dla swej wielkiej Ojczyzny szlachcic polski mieczem i pługiem, a bez „kresów” północnych i południowych ojczyzna ta byłaby o połowę mniejsza i z mocarstwa zesłaby do roli państewka...

III

WYJDŹMY teraz ze dworu w pole. Mijamy krzyż lub murowaną „figurę”. Bez godła Męki Chrystusowej dwór nie byłby do pomyslenia. Wejścia do niego strzegł krzyż, a na pobliskiem wzgórzu, umiejętnie wybranem, wznosiła się kapliczka z figurą Zbawiciela, rzucona na tło kilku drzew.

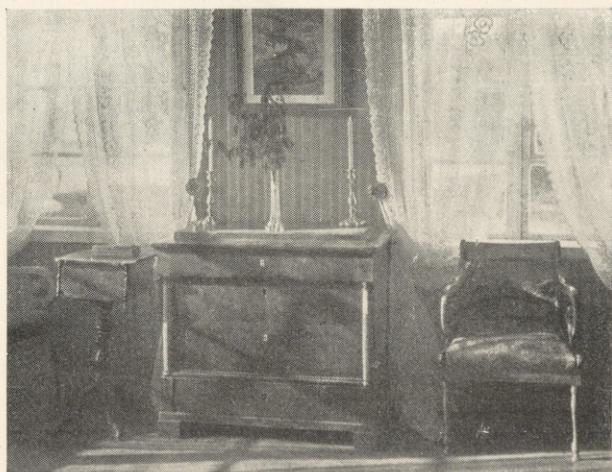
Topolowemi przysadami wychodzimy na drogę, łączącą się w oddali z gościńcem. Każda droga ma także swoje oblicze i swoją treść. Czy to będzie wąska ścieżyna, wydeptana wśród murawy z białemi kwiateczkami, albo wiodąca naprzelaj sianokosem lub zbożowym łanem, czy też będzie to zwykła, nierzadko drzewami sadzona droga, którą deszcz psuje, a wiatr naprawia, czy wreszcie szeroki na dziesięć sążni trakt, łączący z sobą dalsze i większe ośrodki, gościniec ogromny, rozległy, jak cyrkowa arena, z czterema rzędami starych brzoź, rozplatających na wietrze swoje kędziory — jakże powabną i malowniczą linię mają te wszystkie drogi! Jakże przedziwne meandry zdobnicze wprowadzają one do krajobrazu! Jak go ożywiają i uzupełniają swą przyrodzoną falistością, swym charakterem, doskonale harmonizującym z otoczeniem! A jeśli te drogi wiją się tak kręto

i nadobnie, to dlatego, że ich twórcy kierowali się fantazją naturalnego instynktu i przypadkowości, a nie suchem wyrachowaniem linii geometrycznie najkrótszej. Szosa europejska rozbija krajobraz na odrębne, obce sobie części, wprowadzając doń element spekulacyjnego pedantyzmu, bardzo zapewne wygodny i użyteczny, ale jakże ubogi estetycznie! Nasza zaś droga zachyla się i znów odgina wdzięcznymi łukami, odsłania w zagięciach coraz nowe perspektywy, spada ze wzgórze w kotlinę kręconą wstęgą, wspina się znów pracowicie na zbocza i pagórki i ciągnie za sobą brzozowe korowody w wędrownym trudzie. Tamtą wynalazła gorączkowa chciwość dalekiego miasta. Ta urodziła się na miejscu, wraz z życiem wiejskiem i jest jego wiernym odbiciem.

Jeśli zejdziemy z drogi i pójdziemy przed siebie, gdzie oczy poniosą — a u nas niema na to policyjnych i prywatnych zakazów i człowiek na wsi nigdzie nie czuje się intruzem — to gdziekolwiek pójdziemy i cokolwiek ujrzymy, wszystko to jest kształtowane zawsze na swój obraz i podobieństwo przez dwór i przez jego dziedzicznego właściciela. Spójrzmy na te pola i łąki, pastwiska i nieużytki, na te miedze i „ścianki”, ugorujące i niewyzyskane wskutek nieopatrnej może i lekkomyślnej, ale jakże malowniczej i szerokiej w geście pańskiej rozrzutności! Na te kępy wierzby i wikliny po mokrych łąkach, jakby ustawione w świadomym zamiśle dekoracyjnym. Na te samotne grusze, parasolami rozpostarte ponad niepotrzebnie szeroką miedzę, gdzie wśród zwałonych kamienisk czerwienieją końskie szczawie w bru-



OBORA W OTMYCIE



WNĘTRZA

natnej gazie mietlicy, a złocista dziewanna piętrzy się słupkami gęsto okwieconych łodyg, gdzie zajądła cykają świerszcze i odurzająco pachną piołuny i cząbry! Spójrzmy na te rozsypane wśród pól, nie wiedzieć kiedy i przez kogo posadzone drzewa, przeszkadzające prawidłowej uprawie roli, a tak mile wabiące oko przechodnia, jakby same były przechodniami, co się gapią przy odświeżeniem rozleniwieniu na niefrasobliwą gospodarkę polną! Spójrzmy na te brzozowe gaiki z wysoką, soczystą trawą, z ponętą cienistości i niespodziankami jagód i grzybów, gdzie się tak rozkosznie ociera czoło o skwarnej godzinie południowej i wyciąga na miękkiej darninie! Na te wdowie sosny-samotnice, co szumią przeciągle na piaszczystym odłogu, osypanym żółtymi nieśmiertelnikami i na przysadziste, krzepko rozparte dęby przydrożne, zabierające całą drogę w przychylny uścisk swoich cienistych ramion!

Spójrzmy wreszcie na nasze lasy, na te olbrzymie morza szumnej zieleni, bogate w takie skarby roślinne i zwierzęce, a potrzebne, poniszczone przez wszystkich świętych ze złodziejskiego kalendarza, na te puszcze i knieje, poręby i halizny, młodniaki i zagajniki, wszystkie samorosnące, jak Bóg da, a słońce i deszcz pozwoli, ale jakież urocze w swem różnolitem ukształtowaniu, w swej bezładnej rozległości! Jakie niepodobne do tych wartościowych i dochodowych kultur leśnych, które się widuje gdzieindziej w Polsce, ustawione szeregami, jak żołnierze na mustrze, wyczyszczone jak magazyny leśnego towaru! O ileż znowu rozszerzyłyby się ramy tej pogawędki, gdy-

by chcieć mówić o lasach i o ich znaczeniu dla estetycznej wartości naszego krajobrazu!

Więc tylko przypomnijmy znowu: jeśli te wszystkie zarośla, gaje i bory zdobiły nasz krajobraz i podnosiły jego charakter pierwotny i dziewiczny, tchnący takim czarem, to tylko zawdzięczając pańskiej rozrzutności ich właścicieli, którzy mieli jeszcze dość chleba i bez niszczenia naturalnego piękna ziemi, a nie posiadali tej praktycznej ambicji, by ze swoich posiadłości uczynić wyzyskane co do cna grzędy i pokratkowane inspekty. Jednym słowem, dokądkolwiek się zwrócimy dookoła, wszędzie człowiek i ziemia mają jednakie oblicze i współżyją w zupełnej harmonii, kształtując się wzajemnie, jak rzeźba i jej odlew plastyczny.

Niesłusznie powiedziałem: mają i żyją. Dziś trzeba już mówić: mieli i żyli. Minęły tamte czasy beztróskiego współżycia — ziemia dzisiaj w inne przechodzi ręce i jednocześnie ztraca wiele ze swej dawnej malowniczości. A czego nie zniszczyła łupieżcza ręka zaborców, czego nie przeorał krwawy pług wojny, to nasze własne eksperymenty państwowe przenoszą jeszcze skuteczniej z rzeczywistości w dziedzinę poetycznej legendy. Bo i w samej rzeczy, jakże mizernie wyglądać muszą w świetle współczesnych haseł, zwanych „demokratycznymi”, te spóźnione zachwyty jednego z mohikanów nad niedołącznym egoizmem gromadki obszarników, przeciwstawiających się rzekomo całej postępowej, nowożytnej Polsce!

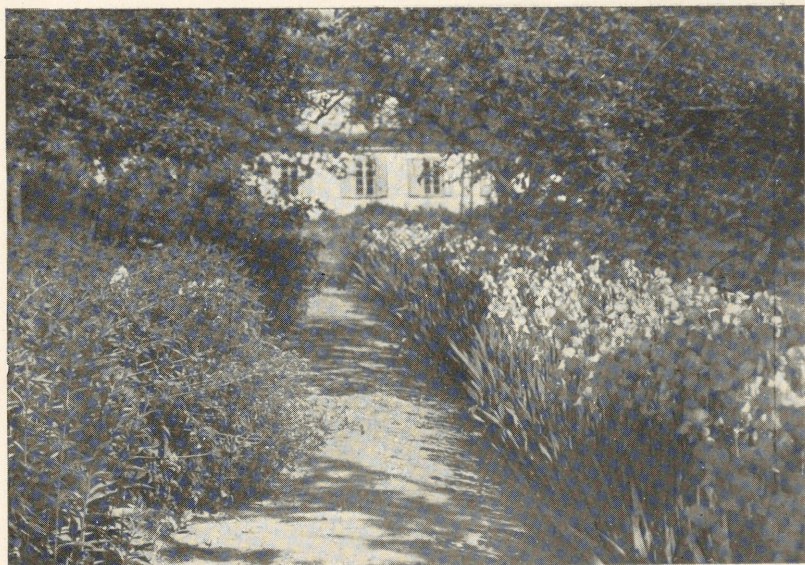
Sprawa ta nie jest jednakże tak prosta, jak się wydaje dzisiejszym włodarzom naszej ojczyzny:



OGRÓD W MONDZINIE



OGRÓD W CZOMBROWIE



OGRÓD W CZOMBROWIE



RYNEK W NOWOGRÓDKU

rozstrzygnie ją przyszłość i osądzi beznamiętnie historia. Dzisiaj, obeucjąc na tych kartach z kraj-obrazem, utworzonym przez dwór szlachecki, powtórzyć należy z całym naciskiem, że on jeden zbudował tu, zachował i rozszerzył Polskę. Jeśli ziemia ta przygarnęła się do polskości i stała się naszą ojczyzną — uczynił to szlachcic, obywatel ziemski, mocą swojego istnienia, pracy i wytrwania. Gdyby nie on, granice Polski skurczyłyby się o setki kilometrów, zgodnie z polityczną kartografią lorda Curzona. I o tem nie należy zapominać przy wszystkich zarzutach, jakie się tak pochopnie czyni naszemu ziemiaństwu. Nie zmieniają one zresztą w niczem faktu niezbitego, że ziemiaństwo ukształtowało kraj nasz fizycznie i moralnie. A tym, którzy dziś wzięli odpowiedzialność za byt i przyszłość Polski, życzyć należy, ażeby potrafili przynajmniej tyleż zdziałać dla polskości naszej ziemi przy wszechmocnym aparacie ugruntowanej państwowości, ile uczynił w ciągu wieku minionego niezorganizowany i rozproszony po jej obszarach „pan z białego dworu”, który dzisiaj odchodzi w krainę pięknej baśni.

Gdy odejdzie całkowicie — może wtedy zostanie zrozumiany słusznie i oceniony należycie. Ludzie są niesprawiedliwi tylko dla żyjących — umarłym piszą chlubne życiorysy i stawiają szczytne pomniki. Taki pomnik posiada Szwecja w parku narodowym, zwanym „Skansen”, gdzie z wielkim pietyzmem zostały odtworzone w najdrobniejszych szczegółach i przechowane dla nauki pokoleń zabytki etnograficzne i przyrodnicze, stare domostwa z całym urządzeniem i otoczeniem ro-

ślinnem, całe obejścia, osiedla i zadrzewienia. Za tym przykładem i nasz wileński magistrat nosi się obecnie z zamiarem ufundowania parku narodowego na górach Altarji, które przejął i będzie urządził dla pożytku miasta i kraju. Można przypuszczać, że zanim pierwszy polski „Skansen” stanie na górach wileńskich, upłynie w sąsiednich dwu rzekach niemało wody, a typ dworu szlacheckiego przejdzie całkiem do historii i stanie się już nieistniejącym okazem zabytkowym. Odtworzy go wtedy na podstawie ksiąg, obrazów i dokumentów zabiegliwa ręka uzdolnionych uczonych i artystów dla zaspokojenia ciekawości współczesnych. Z nielicznych ocalałych materiałów powstanie z mozołem i kosztem ułamkowa minjatura tego wszystkiego, co dziś usuwa się w cień zapomnienia, a tak niedawno napełniało jeszcze cały kraj treścią żywą, mocną i barwną. A wówczas badacz bezstronny, a wnikliwy przyjrzy się temu obrazowi przeszłości, oceni jego wysoką wartość narodową i jego dostojne, szacowne oblicze. Przeniesie się wstecz intuicją retrospektywnego widzenia, zdumieje się i pożałuje, że przeminęło proste, a malownicze piękno dawnego krajobrazu litewskiego i jemu podobna duchowość twórcy tego krajobrazu — pana z białego dworu...

Ale wówczas — nie będzie już ani krajobrazu, ani jego twórcy... bo umrzeć musi w życiu to, co ma ożyć w pieśni.



N. 284 | 55

SPIS ILUSTRACYJ

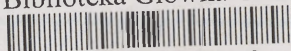
	str.
1. „Wędrowki Fotografą“ fot. Janusz Bułhak (syn)	4— 5
2. Horodźki fot. Jan Bułhak	”
3. Drzwi ogrodowe w Nowodwórce ” ” ”	10—11
4. Jurkiszki ” ” ”	”
5. Nacz ” ” ”	14—15
6. Czombrów ” ” ”	”
7. Staw w Otmycie ” ” ”	20—21
8. Salon w Bobrze Wielkiej. ” ” ”	”
9. Oficyna w Janowiczach ” ” ”	24—24
10. Nowodwórka ” ” ”	”
11. Zadwieja ” ” ”	”
12. Park w Porzeczcu ” ” ”	”
13. Cerkiew w Walówce ” ” ”	26—27
14. Gościniec koło Bieniakoń ” ” ”	”
15. Obora w Otmycie ” ” ”	30—31
16. Wnętrza ” ” ”	”
17. Ogród w Mondzinie ” ” ”	34—35
18. Ogród w Czombrowie ” ” ”	”
19. Ogród w Czombrowie ” ” ”	”
20. Rynek w Nowogródku ” ” ”	”

Ilustracje niniejszej książki zostały odbite na papierze kredowym z krajowej fabryki „J. Franaszek Sp. Akc.” w Warszawie.

Oryginały ilustracyj zostały wykonane przez autora na papierze bromowym z krajowej fabryki „Alfa” w Bydgoszczy.

Klisze do ilustracyj wykonał zakład cynkograficzny Feliksa Zaniewskiego w Wilnie.

Biblioteka Główna UMK



300043702102

FABRYKA WYBIEC PAPIEROWYCH
I PAPIERÓW KOLOROWYCH

„J. FRANASZEK“

Spółka Akcyjna

WARSZAWA, WOLSKA 41

Najwyższe odznaczenia na P. W. K. 1929 r.

Kapitał zakładowy zł. 4.284.000

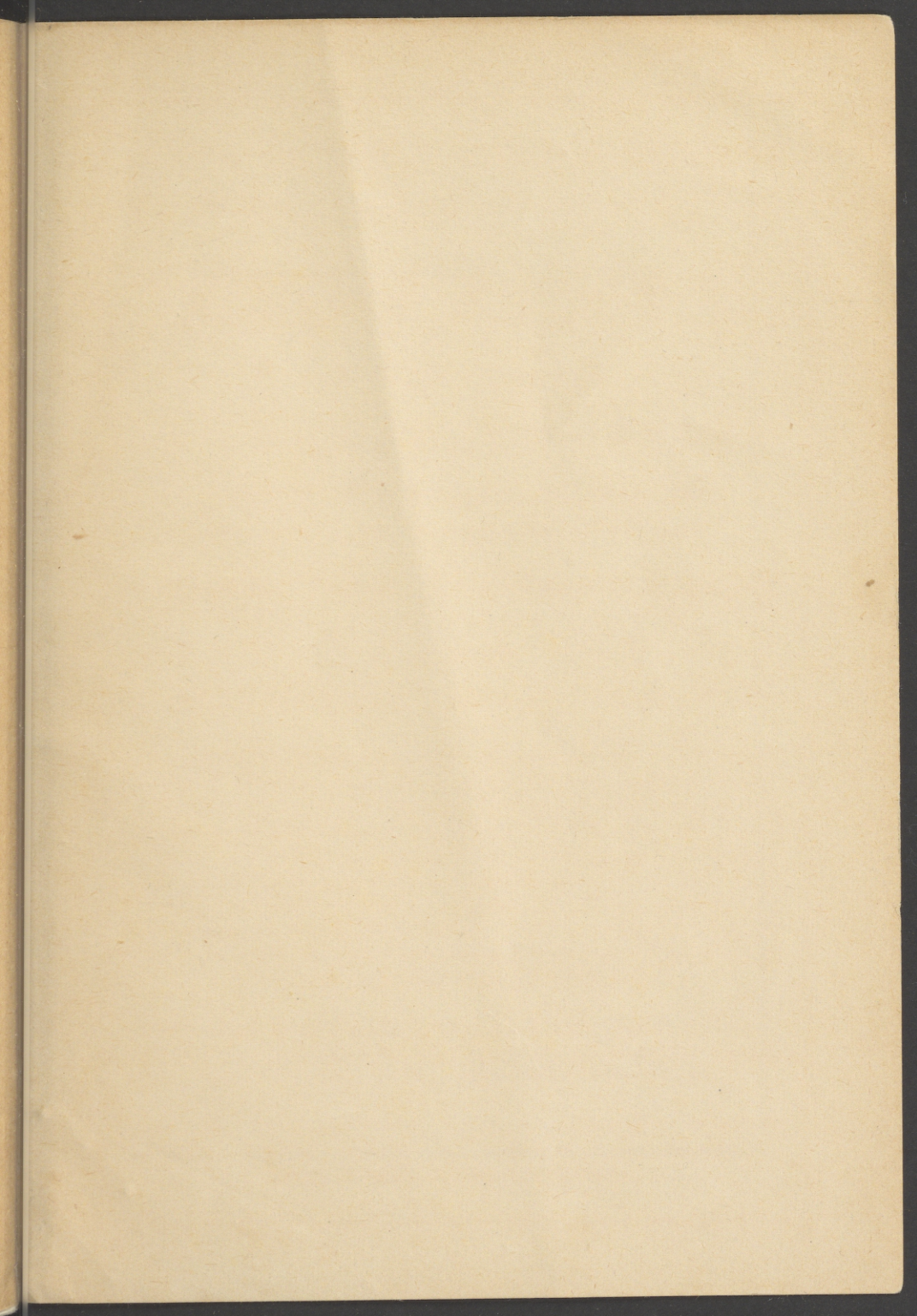
Nowości wypuściła na rynek Nowości

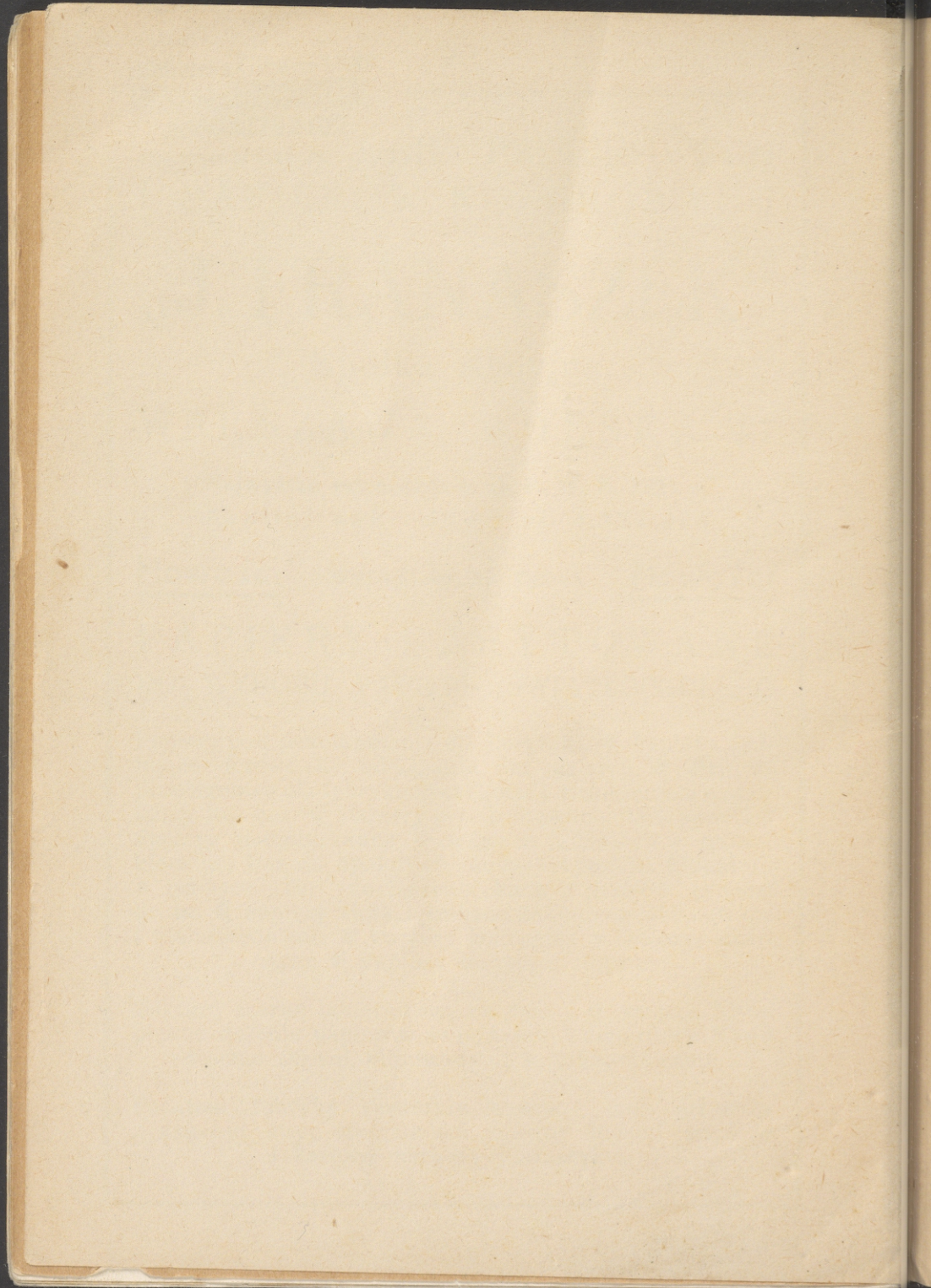
PAPIERY BARYTOWANE
DO WYROBU PAPIERU ŚWIATŁOCZULEGO

Papiery pod dekalkomanję dla litografji. ☐ Papiery imitujące drzewo do odciągania dla malarzy. ☐ Papiery porcelanowe dla fabrykacji czekolady z tłoczeniem nazwy firmy lub bez. ☐ Papiery przedrukowane dla litografji ☐ Papiery podgumowane w taśmach „Askier“ z nadrukiem lub bez do opakowań zamiast szpagatu. ☐ Papiery w taśmach „Tur“ do łączenia kantów pudełek zamiast drutu. ☐ Papiery złote i srebrne nakładane lakierowane i nielakierowane. ☐ Papiery izolacyjne w kolorze czarnym. ☐ Papiery imitujące zamsz.

Tekturę czarną lakierowaną na daszki do czapek. Nowe piękne desenie papierów na podszewki kopertowe. Nowe desenie serwet bibułkowych w przygotowaniu.

Pozatem fabryka dostarcza wszelkie inne artykuły z zakresu swej specjalności między innymi **papiery i kartony chromo-illustracyjne.**





ALFA

BYDGOSZCZ

posiada od 10 lat
uznanie ogółu za
doskonałą jakość
w y r o b ó w
fotograficznych

Wynikiem długolet-
nich doświadczeń
są P Ł Y T Y

JUBILEUSZOWE

wysokoczułe,
bezodblaskowe
i o miękkiej gradacji

4233

Biblioteka Główna UMK



300043702102